

Halina Warmińska-Rozmiarkowa¹

Moje wspomnienia²

*Antoniemu Zollowi, jedynemu synowi Sławy z Warmińskich Zollowej,
wnukowi Emila Warmińskiego, poświęcam „Moje wspomnienia”
z wiarą i nadzieją, by u progu swego życia zaczerpnął z mocy ducha
swego dziada i na jego wzór kształtował swoje życie.*

Dr Emil Warmiński urodził się w Bydgoszczy 15 marca 1881 r. z ojca Ottona, sekretarza sądowego i matki Małgorzaty ze Siuchnińskich z Szubina. Ojca stracił wczesnie, mając lat sześć. Troskę i zachody wychowania czworga dzieci, trzech córek – Marii, Heleny i Stanisławy oraz jedyne go syna Emila wziąć musiała na siebie młoda wdowa, 32 lata mająca. Pomocą jednak w wychowaniu dzieci służył jej dr Stanisław Warmiński, zamieszkały także w Bydgoszczy, który w ten sposób wywdzięczał się dzieciom swego stryja Ottona za jego pomoc wyświadczoną mu podczas studiów uniwersyteckich. Również pomoc otrzymała wdowa ze swego domu rodzinnego z Szubina, gdzie na dużym gospodarstwie wzorowo prowadzonym gospodarzyło jej rodzeństwo: Teofila i Hieronim. Mieszkali w Bydgoszczy przy placu Poznańskim, cała czwórka wybitnie uzdolniona, urodę wzięli z rodu swej matki³.

Mały Emilek lubił przyrodę, w swoim skośnym pokoiku przy placu Poznańskim hodował na swobodzie ptaki rozmaite, dla których wstawał rano, co dnia i pędził Gdańską ulicą do lasu, by przynieść jeszcze przed szkołą ulubionym ptakom rozmaite robactwa i specjały ptasie. W późniejszym swym życiu

¹ Halina Rozmiarkowa, córka dr. R. Maya – właściciela Fabryki Chemicznej w Lubaniu w Wielkopolsce, I^o v. Warmińska, II^o v. Rozmiarkowa.

² Po raz pierwszy *Wspomnienia* opublikowano *in extenso* na łamach „Bydgoskich Zeszytów Lekarskich” 1999, nr 12 – organu Bydgoskiego Towarzystwa Lekarskiego, Oddział Regionalny Polskiego Towarzystwa Lekarskiego, który wyraził zgodę na niniejszą edycję memuarów.

³ O Emilu i Stanisławie Warmińskich zob. szerzej w: *Bydgoski słownik biograficzny*, Bydgoszcz 1993, t. 1, s. 111-112.

nie zapominał o ptakach. Towarzyszyła mu przez całe cztery lata w Bydgoszczy afrykańska, duża papuga szaro-czerwona – mądry Dżokuś, który brał udział w naszym życiu rodzinnym, a również w gościnnym pokoju przy Gdańskiej ulicy stała ogromna klatka, gdzie fruwały papużki bliźniacze i inne ptaki [...].

Jako mały chłopiec bywał na wakacjach w Jaksicach pod Inowrocławiem u swego stryja ks. Teodora Warmińskiego, był gorliwym pomocnikiem kościelnego. Ks. Teodor opowiadał matce, jak to Emilek przerwał raz jego spokój w kancelarii, wpadając z hukiem i anonsując: „Proszę ks. stryja, przyszedł stary kowal do wyvodu”. Gdy wracał do matki swej, długi jeszcze czas zajmowały go ceremonie kościelne, obiecywał, że zostanie księdzem, ubierał się w zaimprovizowane ornaty i naśladował swego stryja księdza.

Matka jego opowiadała, co było z nim kłopotu, gdy rozpoczynał czytanie *Trylogii* Sienkiewicza, nie miał wtedy czasu na jedzenie pograżony w książce, nie spał i jedyną jego troską było, by nie umarł, nim się nie dowie, co się stało z Kmicicem czy z p. Wołodyjowskim.

Miał bardzo dobre serce, dzielił się przysmakami z rodzeństwem, a matkę swą do łez wzruszał, gdy na imieniny lub Gwiazdkę za uzbierane skrzętnie fenigi niemieckie kupował drobne prezenty, raz cukierniczkę małą szklaną, a w niej kawałki cukru. I w dalszym życiu lubił dawać prezenty, zgadywał, co by komu radość sprawiło i kupował. Jednak tajemnicy do dnia imienin czy też Gwiazdki nie umiał dotrzymać, podarki ofiarując przed czasem.

Gimnazjum przebył celująco, od ustnego egzaminu maturalnego był zwolniony na podstawie dobrych prac pisemnych, o czym pospieszył, z całą pewnością siebie, powiadomić rodzinę, wrzucając kartki pocztowe przed pójściem do gimnazjum w dniu egzaminu ustnego. Z tego czasu datuje się moje z nim poznanie. Z ciotką naszą Siuchnińską, a jego również wujenką przybył do nas na Podgórną ulicę z pierwszą wizytą. W pamięci pozostał wesoły chłopiec, wtedy prymaner (najwyższa klasa gimnazjum nazywała się prymą), lecz niskiego wzrostu. Ten niski wzrost był jego zmartwieniem, a miał wtedy lat 17, dopiero później wystrzelił w górę, zachowując wzrost dość wysoki.

Później spotkałam się z nim u tejże samej ciotki, a jego wujenki w Buku. Byłam tam z siostrą Stachą dwa tygodnie. Równocześnie i Emil był na wakacjach już jako student medycyny. Z tych odległych czasów (miałyśmy ja 15, a Stacha 13 lat) zostały nam miłe wspomnienia wesołych zabaw i wieczornych zadań, które medykowi mało z literaturą polską obeznanemu zadawałyśmy do nauki lub przypomnienia, które w rannych godzinach, ucząc się w nocy, przepowiadał nam z pamięci. Łatwość nauki miał nadzwyczajną. Miarą jego zdolności pamięciowych było nauczenie się przez noc długich urywków z *Ojca zadzumionych* lub całych części *Pana Tadeusza*. Na pamiątkę tych czasów

bukowskich ofiarował mi później z dedykacją album z przepisnymi tymi utworami, przepisnymi z pamięci – oraz z własnymi drobnymi utworami i tłumaczeniami Puszkina. [...] W pamięci z tych czasów pozostały jego wesołe wyczyny radości życia, dowcipy i humor Emila. Różne jego bukowskie „kawały”, jak przebieranie w strój kobiecy i przejście w tym podejrzanym stroju rynku, gdzie właśnie odbywał się ludowy targ, w nas, potulnych pensjonarkach, budziło zdumienie, a u jego kuzynek Ewy i Heleny zgorszenie, a nawet interwencję policjanta, który z polecenia burmistrza dobroduszenie prosił dobrze mu znanego Emila, by czym prędzej wracał do domu. Innym znów razem przebrany w strój węgiersko-turecki – w białych, szerokich szarawarach z frędzlami kolorowymi, czerwonym serdaku i fezie tureckim przemierzył rynek, idąc z wizytą do krewnych. I wtedy mieszczki bukowskie z podwieczorkiem wyległy przed domy, a na rynku utworzyło się zbiegowisko oczekujące na powrót tak egzotycznego gościa. Jednakże i tym razem burmistrz telefonicznie ostrzegł Emila, by w tym przebraniu nie pokazał się na rynku. I to wesołe niczym niezmacone usposobienie towarzyszyło mu całe życie poprzez jego ciężką pracę lekarza i zawody pracy jego politycznej, nawet na wesołość umiał się zdobyć na łożu choroby, gdy go powaliła nieubłagana gruźlica płuc.

Studia swe medyczne rozpoczynał w Marburgu, jako najmłodszy student i jedyny Polak. Jednakże atmosfera tego niemieckiego uniwersytetu, studenterii składającej się li tylko z korporacji hołdujących alkoholowi i pojedynkom bez potrzeby i powodu, nie odpowiadała Emilowi zupełnie. Przenosi się do Berlina, gdzie studiuje liczna rzesza Polaków. Tamże, pełen entuzjazmu, zapału i żądzy czynu, już w drugim roku studiów rozpoczyna pracę społeczno-narodową, mimo ostrzeżenia stryja dr. Stanisława, który był zwolennikiem ugody z Niemcami, a nie walki i bojowej pracy. Pracuje w organizacjach polskich – berlińskiej Polonii, miewa tam wykłady, bywa na zebraniach, a zwłaszcza zapisał się na czynnego członka Sokoła berlińskiego w dzielnicy Niksdorf. Z tego czasu datuje się jego fotografia w mundurze sokolim, a wśród pozostałych po nim listów są listy Sokołów berlińskich, o treści dla Emila życzliwych i pełnych wdzięczności. Zupełnie niespodziewanie studia jego zostały przerwane. Jeden z profesorów Niemców, historyk – znany ze swej nienawiści do Polaków – ubliżył narodowi polskiemu, co tak oburzyło Emila, że zerwał się i wobec całego audytorium zaprotestował, dodając: „wenn ich ein Deutsche wäre, wurde ich nur das Gesicht von Scham verdecken” – „gdybym był Niemcem, zasłoniłbym sobie twarz ze wstydu”. Skutek był natychmiastowy. Emila wydalono z uniwersytetu, dodając mu na drogę wilczy bilet, który uniemożliwiał mu studia na jakimkolwiek uniwersytecie pruskim. Wyjeżdża dlatego na dalsze studia do Fryburga w Badenii. Polonia tamtejsza studencka nie była

liczna, ale serdecznie zwarta. Była tam też i kolonia rosyjskich studentów – syn Bakunina, Birula, studentka rosyjska, od których Emil w krótkim czasie nauczył się języka rosyjskiego. Z tych czasów łączyła go przyjaźń długoletnia z dr. Kazimierzem Bojońskim, ekonomistą, późniejszym dyrektorem Banku Przemysłowców w Poznaniu, z dr. Jerzym Czapskim – prawnikiem, dr. Wincentym Jezierskim – późniejszym prof. chorób wewnętrznych na Uniwersytecie Poznańskim, z dr. Andrzejem Rozmiarkiem i ks. dr. Tadeuszem Trzczańskim, późniejszym profesorem seminarium w Gnieźnie, który przyjaźń swą dla Emila przelał po śmierci Emila na mnie i na dzieci, długie lata, aż do swego zgonu, odwiedzając mnie w Poznaniu i w Zakopanem i zapraszając mnie do swego gościnnego domu, gdzie grywał mi wieczorami swego ukochanego Chopina. Kilka listów ks. Tadeusza do Emila pozostałych dowodzi jego serdecznej życzliwości i przyjaźni, jak również wiele innych listów od przyjaciół fryburskich. Gdy wracaliśmy ze Szwajcarii, wstąpiliśmy do Fryburga w Badenii, gdzie Emil pełen wspomnień pokazywał mi to stare, piękne miasto o tak wielkiej tradycji tamtejszego uniwersytetu katolickiego, tak dobrze znanego Polakom. Tamże studiował ks. Paweł Spandowski, ks. Kozłowski, ks. infułat Czapski i ks. biskup Zakrzewski.

Studia swe medyczne kończy Emil z predykatem *summa cum laude*, doktorat otrzymuje na mocy pracy o tyfusie. Tego samego dnia, gdy rano otrzymał dyplom ukończenia, bez obowiązującego wówczas „obłania” przemierza pociągiem pospiesznym całą przestrzeń z zachodu Niemiec na wschód do Poznania, by następnego dnia w południe stanąć przed moją matką z prośbą o moją rękę (zaręczeni byliśmy potajemnie, że tak rzec mogę, już dwa lata przedtem, jednakże bez aprobaty mojej matki, gdyż jako student „nie miał jeszcze chleba w rękę”).

Następnie odbywa roczną służbę wojskową w Berlinie. Tamże nabywa prawdopodobnie swą ciężką chorobę płuc, która go tak nielitościwie o przedwczesną śmierć przyprawiła. Jako lekarz miał dyżury nocne w gmachach szpitala wojskowego, o oznaczonej godzinie musiał przerywać sen, by kontrolować nocą poszczególne oddziały chorych umieszczone nie w jednym budynku, ale w poszczególnych pawilonach. Było to zimą. Sam mi opowiadał, że wtedy lekceważył zdrowie, prosto ze snu narzuciwszy tylko płaszcz lekarski biegął na kontrolę niedostatecznie ubrany. Skutek był fatalny. Wrócił z Berlina kaszlący i mizerny.

Na leczenie nie stało czasu, zawezwany został do Bydgoszczy, gdzie w kwietniu tego roku zmarł stryj jego dr Stanisław Warmiński, pozostawiając mu mieszkanie, meble i przyrządy lekarskie, które natychmiast objąć trzeba było. W maju 1905 r. osiada jako lekarz praktyczny w Bydgoszczy przy

ul. Gdańskiej. W lipcu tegoż roku odbył się nasz ślub. W podróży poślubnej, którą spędziliśmy w Danii i Szwecji, ciężko się rozchorował. W ciężkiej gorączce przeleżał w hotelu w Karlskrone nad brzegiem morza, nie wzywając lekarza, sam się leczył. Pospiesznie wróciliśmy do domu, jednakże i tam o leczeniu nie było mowy. Mimo niewyleczenia i słabości fizycznej oddaje się natychmiast pracy zawodowej, a nawet rozpoczyna walkę o polskość w Bydgoszczy. Nie umiał czynić nic połowicznie, każdej pracy oddawał się całą duszą, oddawszy jej wszystkie swoje myśli, swój czas i zasoby pieniężne. Takim był jako lekarz, takim był jako społecznik i narodowiec. Przejęty postanowieniem, że zgody z Niemcami nie ma – tylko walka o utrzymanie polskości – wprowadza to postanowienie w czyn. Radykalnie przerywa łączność z inteligencją niemiecką, wśród której stryj jego dr Stanisław miał wielu przyjaciół i był zżyty. Przerywa łączność z lekarzami niemieckimi – żadnemu koleździe Niemcowi nie składa obowiązujących wizyt i jako pierwszy lekarz Polak nie wywiesza przed domem godła niemieckiego, lecz tylko polskie. Dr Emil Warmiński, lekarz bez dodatku niemieckiego „Arzt”. To polskie godło – ta rzecz niebывała w Bydgoszczy – było solą w oku Niemców bydgoskich. Nie-nawistne ręce uszkadzają godło kamieniami, chcąc zniszczyć to polskie słowo „lekarz” i po kilku tygodniach godło nocą zniknęło sprzed bramy. Uparty Emil przybija drugie, tej samej treści. I to wkrótce zerwane znika, jak się później okazało – wrzucone do Brdy. I trzecie godło uległo przemocy. Zaalarmowana policja niemiecka wyszukuje sprawców. Byli to młodzi chłopcy, Niemcy, kilkunoletni gimnazjaliści, synowie najpierwszych rodzin niemieckich. Zostali oni przez dyrektora gimnazjum, Niemca, skonfrontowani z Emilem, który po kilku słowach nagany do nich skierowanych, prosił dyrektora o darowanie im win. Jednakże wtedy następny szyld, dwa razy tak wielki z tą samą treścią, o dużych literach widniejących z dala: „lekarz” umieszcza Emil już nie przy bramie, ale na I piętrze naszego balkonu. Były ślady starań, by i stamtąd zniknął, jednakże policja bydgoska w swej praworządności uniemożliwiła ten wyczyn bydgoskiej Hakaty. Rozgłos w tej sprawie był w mieście wielki, odbił się on echem nawet w kabarecie bydgoskim, w którym „o lekarzu polskim” śpiewano kuplety. Pisały o tym zajściu gazety niemieckie, a za nimi i polskie, m.in. „Dziennik Poznański” w dniu 5 listopada 1905 r., „Dziennik Kujawski” 8 lipca 1906 r. – ale przede wszystkim zawrzało w środowisku Niemców bydgoskich i dalszych. Mamy w posiadaniu wycinki siedmiu gazet niemieckich z tego czasu, z których wynika niepokój, że Bydgoszcz już nie jest największym miastem niemieckim w Poznańskim. I tak „Ostdeutsche Rundschau” z dnia 13 września 1905 r. pod tytułem *Der erste Lejarz in Bromber* podkreśla, że dotychczas lekarze, adwokaci polscy, ze względu na niemieckość miasta,

szylidy mieli tylko niemieckie, chyba tylko polska apteka w dwóch językach. Dopiero młody polski lekarz, który osiadł tu niedawno, przyczepia takie godło polskie, a nawet nad dzwonkiem swoim wpierw napis polski „dzwonek do lekarza”, a dopiero jako drugi niemiecki, czy polskie serce Pana Warmińskiego (Panwarmiński) ma tak wielką pogardę dla Niemców, że nie chce mieć żadnego niemieckiego pacjenta. *Der deutsche Michel ist ja geduldig*, niemiecki Michałek jest jednak cierpliwy. Niemcy bydgoscy przez taką polską ekstrawagancję nie będą zniszczeni, przeciwnie zarządzają rozłęką z polskością. Trzeba się tylko dziwić, że niemiecki właściciel domu do tej ekstrawagancji rękę przykładą (w tłumaczeniu). Na to wezwanie odpowiedział właściciel domu p.[Erich] Hecht, wypowiadając nam mieszkanie oraz tłumaczy się w liście do redakcji „Ostdeutsche Rundschau” w dniu 7 listopada 1906 r., że wszelkie jego perswazje nie pomogły, by ten „gräßlicher Schandfleck” (wstrętna plama wstydu) usunąć z frontu jego domu. Przy wyprowadzeniu umieszcza Emil nowy napis w języku polskim „wyprowadziłem się na ul. Dworcową”. Jednakże właściciel p. Hecht przeszkodził temu, co wywołało rozprawę sądową i odwołanie się Emila do Krajowego Sądu (Königliches Landgericht), który uchwałą z dnia 1 lutego 1907 r. nakazał przymusowe („zwangsweise”) umieszczenie napisu, czego dokonał Królewski Komornik (Königlicher Gerichtsvollzieher). Zajście to wywołało nowy protest i nowy list publiczny Hechta. Poruszona opinia niemiecka i nowa decyzja Krajowego Sądu – wytłumaczenie, że chodziło tu o niemiecki, sprawiła, że polski napis znowu Królewski Komornik usunął. Zainteresowanie publiczności wywołane artykułami i listami było tak wielkie, że stawali ludzie przed naszym domem, by się napisom polskim przypatrzeć, a prasa niemiecka znowu głos zabrała. I tak „Schlesische Zeitung” dnia 9 sierpnia 1907 r. piętnuje i przestrzega przed wzmaganiem się polskość w Bydgoszczy oraz katolicki „Westpreussischer Woksblock” z Prus Zachodnich z dnia 13 listopada 1907 r. (art. wstępny pt. *Das polnische Schild*) zaznacza, że sprawa tego szylidu przewyższa jeszcze historię o *Lufikurort Drzymalas* (dosł. o kuracyjnym miejscu Drzymały – wóz Drzymały) i jako katolicka gazeta pragnie dać uspokojenie na wzburzone umysły, bagatelizując całe to wydarzenie

Trzeba zaznaczyć, że zakusy niemieckie na Bydgoszcz prowadzone były od kongresu wiedeńskiego i jeszcze dalej. Miasto opasane było siecią kolonistów z Niemiec, a wewnątrz roiło się od najrozmaitszych urzędników Niemców, sprowadzanych z zachodu. Ze szkół już dawno usunięto język polski i szkoła ta przerabiała Polaków na Niemców. Bydgoszcz liczyła za życia Emila Warmińskiego 50 tys. mieszkańców, w tym 20 tys. Polaków, jednakże dalsze 10 tys. wywodziło się z pnia polskiego – lecz byli już zniemczeni dzięki sys-

temowi pruskiemu od stu lat z górą prowadzonemu. I hakatystom niemieckim mogło się zdawać, że Bydgoszcz jest miastem pruskim. Toteż ich wzburzenie na podnoszenie się polskość było wielkie, coraz większe. Miarą tego zacieźtrzewienia może służyć fakt, że jednego wieczoru padł strzał, prawdopodobnie z hotelu vis-à-vis, do okna mieszkania naszego, w którego środku stał postument Sapho greckiej, który mógł zwieść, że tamże stoi człowiek. Rozbita szyba i kula rewolwerowa znaleziona w pokoju świadczyły o karygodnym zamachu, lecz tym razem policja bydgoska sprawcy nie wykryła. Wszystkie te przygody rozchodziły się nie tylko wśród społeczeństwa niemieckiego, ale równocześnie i wśród szerokich sfer polskich, które składało się z robotników, kolejarzy, tramwajarzy, trzech lekarzy i kilku adwokatów, prócz duchowieństwa. Osoba młodego lekarza staje się popularna. Czyny jego stanowcze, bojowość w zaznaczeniu polskość zjednała mu zwolenników, budziła śpiących, a odpowiadając potrzebom szerokich mas – wyniosła go, tak młodego, na wodza sprawy polskiej.

I tutaj uważam, że trzeba rozważyć, jaka była sytuacja polityczna ogólna naszego narodu. Rozświetlić to zagadnienie winnam, pisząc te wspomnienia – wobec dzieci moich zrodzonych co prawda w niewoli, jednakże wzrosłych w czasach dwudziestolecia Polski wolnej, wobec mych wnuków, którym dzisiejsza rzeczywistość zasłoniła fakty prawdziwe, przeorała to, co było, że rozecznąć się nie mogą. Dla nich, dla dzieci moich i wnuków, przerywam wspomnienia osobiste i włączam się w nurt ówczesnej walki i zmagają o polskość kraju. Ostatnie lata dziewiętnastego wieku i pierwsze dwudziestego wieku, wśród których upływa życie Emila Warmińskiego, to wzrost najbardziej zaciętych zmagają polskość o prawa istnienia. Po powstaniu 1863 roku w erze Bismarckowskiej rząd pruski wypowiada bezwzględna walkę Polakom. Kanclerz Bismarck, najwyższy urzędnik pruski, zagorzały protestant, zionie nienawiścią do wszystkiego, co katolickie, co polskie, wietrząc „niebezpieczeństwo polskie”. I rozgorzała wtedy na ziemiach polskich wcielonych do Prus (po kongresie wiedeńskim), jako Wielkie Księstwo Poznańskie, gwałtowna walka, w której ludność polska i katolicka broniła dwóch podstawowych czynników swego istnienia – religii i narodowości. A więc Sejm pruski w roku 1871 uchwała dekret o wydaleniu Polaków pochodzących z innych dzielnic. Rugi te obejmują 40 tys. Polaków. W roku 1872 rozpoczyna się *Kulturkampf*, tak popularnie zwana walka godząca bezpośrednio w katolicyzm, przeciw duchowieństwu polskiemu, odbierając prawo nadzoru nad szkolnictwem powszechnym, a nawet nad nauką religii. Następnie szeregiem rozporządzeń administracyjnych dokonuje Bismarck całkowitej germanizacji szkolnictwa, rugując język z sądownictwa, z administracji państwowej i samorządowej.

Rozpoczęło się gruntowne niemczenie nazw miejscowości, miast i wsi oraz nazwisk mieszkańców, zamknięto dla Polaków dostęp do służby państwowej, posypały się represje przeciwko polskiej prasie, zgromadzeniom i stowarzyszeniom. W ciągu kilku lat runęły resztki odrębności, w jakie wyposażył kongres wiedeński Wielkie Księstwo Poznańskie. „Oczom przerażonego społeczeństwa polskiego – pisze [Józef] Feldmann w swoim dziele *Bismarck a Polska* – ukazał się Bismarck w nowej postaci: zjadliwy krytyk nicujący przeszłość Polski i wady charakteru narodowego, wróg przysięgły dążeń do niepodległości, bojownik autorytetu państwa i rewindykacji protestanckich wobec Kościoła – odstonił oblicze największego w dziejach germanizatora, który kilku pociągnięciami pióra większe w polskim stanie posiadania wyrządził spustoszenie, sroższe zadał polskości klęski, aniżeli kilka pokoleń szermierzy germańskiego »Drang nach Osten« (napór na wschód). Szkoła, już teraz naprawdę pruska, stała się katem dzieci polskich, które poczęły cierpieć jak prawdziwi męczennicy. Rozpoczęła się zażarta walka o duszę polskiego dziecka – walka, w której dzieci brały czynny udział. I tak we Wrześni dzieci odmówiły pierwsze mówienia pacierza po niemiecku, mimo batów i gróźb nie chciały brać do ręki katechizmu niemieckiego (łęklawie brały przez fartuszek, by nie kalać swych rąk), przypieczętowując srogimi batami, które kijem rozdawał nauczyciel Niemiec, sprowadzony gdzieś z daleka, a wyposażony w *Ostmarkenzulagi* (dodatki pensyjne zw. Marcken wschodu)”.

Było to 56 lat temu. Prasa wielkopolska poświęciła w miesiącu czerwcu 1955 r. szereg wspomnień z tych czasów pt. *Chwała dzieciom wrzesińskim* lub *Spotkania z historią*. Odbyły się uroczystości we Wrześni – wystawa pamiątek z tych czasów. W uroczystościach brały udział te dawne dzieci wrzesińskie. Wtedy mali bohaterowie sprzed 56 lat – dziś już starcy. [...] Sprostować jednak muszę i objaśnić moje wnuki, że w wypadku strajku szkolnego, jak i całej długoletniej walki o polskość Wielkopolski oraz w powstaniu wlkp. w roku 1918 motorem wszystkich działań Wielkopolan była jedynie idea narodowa: nie dać się wynarodowić, uwolnić się z niewoli niemieckiej i tą silną, zwartą ideą owładnięte były wszystkie stany społeczeństwa wlkp. Niesłuszne jest więc przez czynniki reżimu komunistycznego to podkreślanie klasowe. Opór dzieci polskich we Wrześni rozpowszechnił się na całe Księstwo jako „strajk szkolny”. I już nie gromadka dzieci, ale całe hufce, tysiące nie chciały mówić *Vater unser* zamiast – *Ojczy nasz*. 86 tys. dzieci szkolnych, dzieci włościan, rzemieślników, robotników polskich stanęło do walki o polski pacierz, choć dzieci te bito, katowano, kaleczono, choć na rodziców nakładano grzywny za „zakłócanie porządku publicznego” lub za „duchową nieobecność dzieci w szkole”. Walka ta trwała lata, a w 1906 r. doszła jako „strajk szkolny” do szczytu.

Rok 1907, na który przypada największe nasilenie działalności politycznej Emila, przyniósł nakaz przymusowego wywłaszczenia Polaków, gdyż działalność dotychczasowej komisji kolonizacyjnej – Ansiedlungs-Kommission, która zakupywała ziemię polską dobrowolnie z rąk polskich i osadzała na niej z głębi Niemiec sprowadzanych osiedleńców – niewiele przyniosła Prusakom korzyści. Nieliczni zdrajcy – ziemianie, co za judaszowe srebrniki rządowi sprzedawali swą ziemię, byli przez opinię polską piętnowani i ku przestrodze nazwiska ich publikowano. Chłopu polskiemu nie pozwolono na własnym gruncie budować chaty, więc Drzymała, chłop polski, zamieszkał w sklepczonej drewnianej chacie na wozie (sławny wóz Drzymały). Miliony marek niemieckich zaprzepaszczone w tej komisji kolonizacyjnej – bez wielkiego wyniku, więc trzeba było nowego dekretu o przymusowym wywłaszczeniu.

Następny dekret to zakaz używania języka polskiego na publicznych zebraniach czy wiecach. Odtąd mowa polska skryć się musiała w zaciszu domu polskiego. Przed tym jednakże, przed uprawomocnieniem się tego dekretu „kagańcowego”, rozległ się na ziemiach zaboru pruskiego głos protestu ogólnego – wiece i wiece, nawet często kobiece, odbywały się liczne i w każdym mieście. Czy prześladowania te dopięły celu? Były straty, były wyłomy, jednakże dziś z perspektywy, choć niewielu lat – wiemy, że zwycięstwo leżało po stronie polskiej.

Walka ta zdwoiła siły polskie, obudziła obojętnych, wzmogła czujność i zwartość Polaków, nie tylko w Poznańskim, ale na Górnym Śląsku obudzili się z wiekowego snu Ślązacy – tak głęboko przywiązani do wiary katolickiej, duch oporu i świadomości narodowej podniósł się na Pomorzu wśród Kaszubów. Każdy dom polski w dosłownym tego słowa znaczeniu był twierdzą polskości. Powstawały nowe stowarzyszenia, które nie ujawniały właściwych swoich celów, ale żyły – jeśli tak powiedzieć można – podwójnym życiem; właściwe polskie zadanie wypełniały „pod ziemią”.

Powstawały tajne szkoły polskie jak Tow. „Warta” w Poznaniu, która miała jawny dla władz cel „towarzystwa przyjaciółek wzajemnego nauczania”, na których jawnych zebraniach bywał kontrolujący policjant – Niemiec rozumiejący po polsku, a które tajnie były w całym tego słowa znaczeniu szkołą polską z nauczycielkami, które dzieci u siebie w domu (po pięcioro) bezinteresownie uczyły. (O ile dzieci moje lub wnuki chciałyby się więcej o „Warcie” poznańskiej dowiedzieć – odsyłam je do życiorysu Anieli Tułodzieckiej, który w broszurze załączam). Zwycięstwo społeczeństwa było całkowite, choć walka trwała lata. Zaprzańców było mało, nie można ich wspominać. Gdy po wielkiej wojnie wyłoniła się Polska wolna, zastała społeczeństwo silne i zwarte. Pokolenie dzieci wrzesińskich, dzieci ze strajku szkolnego, dzieci warcianych

jako dorośli i pełnowartościowi obywatele weszli w życie tej wolnej już Polski, jako czynnik narodowy i nadal nieugięty.

Sądzę, że to oświecenie czasów ówczesnych było potrzebne, by dzieci i wnuki moje wczuć się mogły lepiej w istotę życia ich ojca i dziada, w działalność jego na terenie walki narodowej w Bydgoszczy na zagrożonym postępniku. Dziwić się nie mogą, że na bojownika tego, który z taką odwagą bronił polskości przed napierającą niemczyzną – ześrodkowała się cała nienawiść bydgoskiej Hakaty, że strzał padł z ukrycia, godząc w jego życie.

Wróćmy jednak do wspomnień tych dni, w których za inicjatywą Emila Warmińskiego powstawała w Bydgoszczy niezdobytą twierdza polskości. Pierwsza działalność to zdobycie dla Bydgoszczy za pośrednictwem Czytelni Ludowych – dużej biblioteczki dla dzieci, która początkowo mieściła się w składzie p. Melanii Gońskiej, wielkiej patriotki bydgoskiej, a później w „Domu Polskim”. Bibliotekarką była Zofia Pękałówna. Co niedzielę po nabożeństwie dzieci zmieniać mogły książeczki, wczytując się w słowa polskie, nie zapominając języka ojczystego (a pamiętać trzeba, że byli to uczniowie czysto niemieckiej szkoły, w której obowiązywał surowy zakaz mówienia po polsku na terenie szkoły, nawet dzieci między sobą). Powstaje czytelnia dla kobiet, która prócz wypożyczalni książek dla dorosłych miała i cele oświatowe, podobnie jak i inne czytelnie na terenie Wielkopolski.

Z kolei budzi Emil Sokoła bydgoskiego z uśpienia, jako dawny członek tej organizacji zostaje jego prezesem. Wstępuje do Towarzystwa Kupieckiego i do Młodzieży Kupieckiej na zaproszenie Towarzystwa Śpiewu „Halka” i tam się udaje, wstępując do zarządu – wszędzie rozbudzając patriotyzm i obowiązki walki o polskość. Wielką przeszkodą w pracy narodowej był brak sali polskiej. Polskie organizacje musiały korzystać z sal niemieckich po części szykanowane, a jeszcze częściej wyrzucane z nich. Jedynie polska była mała cukiernia na Gdańskiej – Ganasińskiego, w której czytelnia dla kobiet miała swoje odczyty i zebrania.

Wtedy Emil rozpoczął starania o *Dom Polski*, zakładając Spółkę Budowlaną o 50-markowych udziałach, które rozebrała nie tylko Polonia bydgoska. O udziałowców starał się Emil nie tylko w Bydgoszczy, ale i w Poznaniu, Toruniu, korzystając z każdej chwili, by zebrać fundusze. A fundusze te się zbierały poważne. Do udziałowców należały najpoważniejsze osobistości Księstwa Poznańskiego, spiesząc w ten sposób z pomocą zagrożonej placówce. Niemcy bydgoscy zatrąbili na alarm, w prasie swej ostrzegając, by żaden Niemiec nie odważył się sprzedać „Spółce” gruntu czy domu. A jednak znalazł się Niemiec, który sprzedał (czerwiec 1907 r.) Polakom dom z wielką salą restauracyjną i ogrodem przy ul. Wilhelmowskiej nr 5 – na b. dogodnych warunkach.

kach. W gazecie bydgoskiej „Ostdeutsche Rundschau” ukazał się artykuł pt. *Verrat an Deutschtum* (zdrada niemczyzny), piętnujący Niemca sprzedawcę i wzywający władze niemieckie, by odmówiły Polakom prawa wyszynku. Jednakże już było za późno. „Dom Polski” istniał – w nowej siedzibie skupiły się wszystkie organizacje polskie i skoncentrowało się całe życie towarzyskie, społeczne oraz polityczne Polonii bydgoskiej. W „Dzienniku Kujawskim” z dnia 1 czerwca 1909 r. czytamy, jak bardzo *Dom Polski* spełniał swe zadania, gromadząc tam Polaków, orkiestra organisty p. Sauera przygrywała do tańca, jest i ogród, ale nie ma od władz niemieckich pozwolenia na wyszynk, co tylko na dobre wyjść może tamtejszym Polakom. W dwa lata po śmierci Emila byłam zaproszona przez organizacje bydgoskie na odsłonięcie portretu Emila, który patronował dużej sali *Domu Polskiego*, pełnej ożywienia towarzyskiego, a później już za czasów wolnej Polski otrzymałam zaproszenie – tym razem z dorastającą Sławą i Przemem – na odsłonięcie tablicy ku czci Emila na zewnętrznej ścianie b. *Domu Polskiego*. Była to uroczystość z okazji jubileuszowego Złotu Sokolego – 50-lecia gniazda Macierzy. Odsłonięta tablica dłuta Teodora Gajewskiego z popiersiem Emila miała taki napis: *Tu mieścił się Dom Polski, bastjon polskości w latach niewoli pruskiej. Tablicę niniejszą jako znak hołdu dla jego twórcy dr Emila Warmińskiego, odsłonięto z okazji 50 lecia bydgoskiego Sokola 12.VII.1936.* W roku 1939 w pamiętnej jesieni męczeńskiej Bydgoszczy z najściem wojsk hitlerowskich znika tablica ku czci Emila zniszczona przez Niemców. Píše o tym w „Gazecie Bydgoskiej” Kazimierz Boniecki w artykule: *Zniszczone pomniki bydgoskie*. Zarząd Miasta Bydgoszczy w wolnej Polsce nazwał ulicę Gamma, przy której stał *Dom Polski* – ul. dr. Emila Warmińskiego.

Stworzywszy *Dom Polski*, Emil skupia się do nowego dzieła. Zdając sobie sprawę, jaką potęgą jest prasa, stara się o założenie gazety polskiej. Na redaktora zgłasza się Jan Teska, który rozpoczyna przygotowania. Na nazwisko i adres Emila bez zaawizowania przesyłki przysłał maszyny drukarskie. Pamiętam to doskonale, jakie to w domu naszym sprawiło zamieszanie – te kolejowe awizy – maszyny te trzeba było wykupić, a nie mając tak dużych funduszy w domu, trzeba było Emilowi biegać po znajomych, pożyczać i starać się o pieniądze. I tak znowu z wielkim trudem finansowym powstała pierwsza polska gazeta w Bydgoszczy. A jakżeż inaczej szła teraz praca unarodowienia, gdy wychodzić zaczęła codzienna gazeta polska, docierająca do każdej polskiej rodziny z żywym słowem ojczystym.

Tymczasem rozgłos o Emila gotowości w walce z niemczyzną rozszedł się poza Bydgoszcz. Zapraszano go na zebrania czy wiece z przemowami do Torunia, Gniezna, Inowrocławia, a także na pobliskie wsie. Wycinki z gazet za-

chowane do dzisiaj notują tę jego działalność. Kampania wyborcza dodaje jeszcze więcej pracy. Z wycinków gazet inowrocławskich, toruńskich wyczytać możemy, jak pierwszą jaskółkę wiosenną – śmiałą nadzieję, że polska Bydgoszcz skupić się może i powinna w walce wyborczej celem wyboru pierwszego po długiej przerwie posła polskiego z Bydgoszczy do Sejmu pruskiego i pada nazwisko kandydata: jest nim dr Emil Warmiński – posiadający tak duże zaufanie Polonii bydgoskiej. Serdecznym z tych czasów towarzyszem był ks. Kazimierz Stankowski, proboszcz z Potulic, gorący patriota i ofiarny pracownik. W samej Bydgoszczy wśród polskiej inteligencji mało zrozumienia zwłaszcza wśród lekarzy kolegów. Jedynie dr Biziel, który po Emilu osiada w Bydgoszczy, jest wzorem pracy narodowej. Posiadamy wzór listów z tych czasów od przyjaciół Emila. Niepodobna mi ich wszystkich przytoczyć. Wspomnę tylko o liście Franciszka Babsta, przyjaciela Emila (który w drugą parę podawał do chrztu z Romaną Łukanowską syna Przemysława), robotnika, wielkiego działacza, patrioty. Z treści listu tego wynika cześć i tkliwe przywiązanie polskiej, robotniczej Bydgoszczy do ich przewodnika. Oraz o liście ks. prałata Leibniza, ówczesnego proboszcza inowrocławskiego, a późniejszego biskupa, który po wystąpieniu Emila w Inowrocławiu przesyła mu słowa uznania i tak kończy: „I kto by przewidział, że ten Emilek, którego widywałem w Jaksicach (u stryja Emila ks. dr Teodora Warmińskiego) tak zacni nazwisko Warmińskich?”.

Rozwijała się coraz lepiej praktyka. Poczekalnia dla chorych zapełniała się, przeważnie pacjentami ówczesnej Kasy Chorych, oczywiście tylko Polakami, mnożyły się wizyty na mieście, które odbywał, jeżdżąc zamówioną, stałą dorożką. Wówczas członkowie Kasy Chorych mogli sobie wybierać lekarza, nie byli przydzieleni tak jak dziś do jednego oznaczonego, mieli swobodę wyboru. To też polscy robotnicy, kolejarze, tramwajarze wybierali jako swego lekarza Emila, nie tylko oni, ale i ci najbiedniejsi – wdowy, praczki udawali się do niego po pomoc lekarską.

Sławka, odwiedzając przed laty grobowiec w Bydgoszczy, miała miłą rozmowę ze starszą panią, która podeszła do grobowca zaciekawiona osobą Sławki i zapytała, kto ona jest. Dowiedziawszy się, że to córka Emila – ucieszona zaczęła opowiadać o Emilu, którego dobrze znała – jak to Polaków leczył, biednych za darmo, jak go kochali. I ją nawet leczył, bo gdy była młoda, ciągle chorowała. Aż raz poradził zamiast lekarskiej recepty, by wyszła za mąż – to będzie zdrowa. I rzeczywiście, ze śmiechem informowała – wyszłam za mąż i wyzdrowiałam.

Gdy byłam w dniu 10 maja 1956 r. z córką w Bydgoszczy na uroczystości wskrzeszenia pamięci Emila po tylu latach – zgłosiła się do mnie nazajutrz

po uroczystym wieczorze pani Maria Bessert – bydgoszczanka, która przyniosła do redakcji „Ekspresu” fotografię Emila, która od prawie 50 lat wisiała na ścianie jej domu. Fotografię tę po śmierci Emila redaktor „Gazety Grudziądzkiej” – tak dobrze znany Wiktor Kulerski rozesał wraz z gazetą wszystkim swym abonentom. Pani Bessert wspominała, jak jako dziecko chodziła po mszy św. do biblioteczki po polskie książki, bo była przez ojca wychowywana w duchu narodowym – pamięta również, jak ojciec jej opowiadał o dobrym sercu Emila, gdy leczył biednych za darmo i jeszcze im dawał lekarstwa.

Ciężka to była praca, bo Emil nikomu nie odmawiał i szedł na każde zawołanie. Nad łóżkiem swym umieścił dzwonek nocny, którym każdy z ulicy mógł wydzwonić lekarza. Ileż to było przerwanych nocy, gdy przeraźliwy głos dzwonka budził zmęczonego i wzywał do chorego. Pamiętam – jednej nocy dzwonek – wzywają Emila do ciężko chorego poza Bydgoszcz, błagają o pomoc. Wzywający wymienia, u ilu już był lekarzy, a wszyscy odmówili – bo oznaki choroby podejrzane. Emil wysłuchał i odkrzyknął, że pójdzie. Mnie objaśnia, że prawdopodobnie to cholera, która się pokazywała, a z którą walczyła komisja sanitarna. Liczyć się z tym muszę, że jeśli tak jest istotnie, to tak prędko nie wróci, a może nawet zatrzymany będzie w izolacji razem z chorym. I istotnie – próżno go oczekiwałam cały dzień – wrócił dopiero następnego zatrzymany przy chorym przez władze sanitarne. Ta ofiarna natychmiastowa pomoc zrobiła mu duży rozgłos, zjednała serca. Polska Bydgoszcz sławiła szlachetność tego postępu. Praktyka się zwiększała, dając dużo pracy, mało jednak przysparzając funduszy. Opłaty Kasy Chorych były niskie. Jak już wspominałam, serce miał bardzo litościwe. Biednych wspierał obficie. Ubrania swe zamawiał nie u pierwszorzędnym krawców, ale u biednych, mało znanych, którzy pracy wiele nie mieli, a których przez to reklamował. Pamiętam, jakie nieraz było moje zdziwienie, gdy do domu zgłaszał się szewc ten i ów, by wziąć miarę na buciki mnie lub dzieciom – rozumiałam wtedy, że nie chodziło o te buciki, lecz o danie pracy szewcowi, który pracy i zarobku potrzebował. Dla biednych miał szczerą rękę, nie tylko że do najbiedniejszych pacjentów pierwsze kierował kroki, ale płacił za nich lekarstwa – na recepcie do apteki umieszczając porozumiewawcze „pro me”. Toteż rachunki apteczne co miesiąc płacone były nieraz b. wysokie.

Ciężka to była praca – praca lekarza z powołania, wśród której zapominał o jedzeniu. Pożywienie dla niego było złą koniecznością, musiało być prędko podane. Po części sama mu na talerz nakładałam, bo właśnie był zainteresowany jakąś lekturą medyczną i czytał lub spieszył się do swego obowiązku. Dopiero później, gdy leżał już od kilku tygodni na łożu choroby, raz po raz przyznawał, jedząc rozmaite smakołyki, zwłaszcza te, które mu z Szubina prze-

syłała kochająca go ciotka Teofila lub kuzynka Ewa z Buku, jakie to dobre, że też ja nigdy nie smakowałem w jedzeniu.

Ciężki to był trud dnia codziennego – tego wzorowego lekarza i społecznika ofiarnego. Taki tryb życia mógł i najlepsze zdrowie poderwać, a przecież – choć tego nie wiedzieliśmy – już i tak było zdrowie Emila zachwiane. Nagle przyszła choroba – prócz kaszlu podrażnienie kiszek – atak serca, zapaść prawie go zabrać mogła na zawsze. Natychmiastowa pomoc lekarska przywołała go do życia, gdy otworzył oczy, szepnął, „jaka piękna muzyka”. Na konsylium prócz bydgoskich kolegów zjechali sławny chirurg z Torunia dr Szuman i znany lekarz specjalista w chorobach kiszek i żołądka dr Zakrzewski z Poznania. Dr Szuman żądał natychmiastowej operacji, przywiózł z sobą walizkę narzędzi chirurgicznych. Dr Zakrzewski sprzeciwiał się temu i zarządził kurację, potwierdzoną przez lekarzy bydgoskich, która też doprowadziła do wyleczenia. Badanie płuc wykazało zajęte płuco i konieczność przerwania dotychczasowej, zabijającej pracy – leczenie sanatoryjne na długie miesiące.

I opuściliśmy wtedy nasze ukochane mieszkanie, by rozpocząć wędrówkę długomiesięczną. Sławkę, która miała wtedy dwa roczki, zostawiliśmy u mojej matki w Starołęce, a sami wyruszyliśmy przez Abację statkiem naokoło Włoch, by płuca leczyć czystym morskim powietrzem. Powrót przez Szwajcarię do Zakopanego do sanatorium Dłuskiego. Tu w spokoju sanatoryjnym pisze Emil swą pracę ekonomiczną pt. „Patogeneza wyzysku” felieton ekonomiczny Zakopane 1907 nakładem autora. Broszura ta różnorakie znalazła przyjęcie, a nawet jako zbyt radykalna – zastrzeżenie. Przede wszystkim stryj Emila ks. prałat dr Ignacy Warmiński nie był z tej pracy zadowolony i dał to odczuć przy najbliższej sposobności. Natomiast „Kurier Poznański” z dn. 11-12 czerwca 1907 r. zamieścił recenzję pióra „Revery”, który dodatnio ocenił myśli autora, dając w skrócie ich drogę – „W formie felietonowej przedstawia dr E.W. pojedyncze fazy rozwoju ludzkości od zarania jej bytu poprzez okres myśliwski, pastersko-rolniczy i feudalny aż do obecnej chwili zorganizowanych ustrojów państwowych omawiając wyzysk pracy przez kapitalizm, przestrzega przed potęgą – jaką się stanie proletariat i przewiduje starcie tych dwóch sił”. Redakcja „Kuriera Poznańskiego” dodaje od siebie, że może niejednego zrazić sposób ujęcia kwestii, strona stylistyczna, w której można się dopatrywać wpływów radykalnej literatury społecznej. Jednakże podkreśla, że mimo tego zastrzeżenia – *praca dra Warmińskiego nie traci dla nas ani pod względem wartości i znaczenia, ani też względem sympatycznej myśli wytycznej.*

Półroczny odpoczynek bez trosk i trudów bydgoskich naprawił zdrowie Emila, jednakże nie radykalnie. Późna wiosna zastała go znów przy pracy w Bydgoszczy, przy tej samej pracy ciężkiej fizycznie i podrywającej nerwy.

Sił jednak długo nie stało. Do tego przyczyniły się najrozmaitsze niepowodzenia, przykrości, nieprzychylnie nastawienie kolegi – lekarza oraz redaktora Teski. *Rzucano mu kłody pod nogi* – tak brzmiał ustęp jednego z nekrologów, a w innym nekrologu „nie szczędzili mu przykrości i zawodów swoi”, a ks. prałat Laubitz w liście swym do Emila z dnia 18 listopada 1906 r. także wspomina o „krzywdzie, której nawet na świętym miejscu zawiść ludzka powstrzymać nie umiała” – i to ci, którzy choć tych samych przekonań, różnili się metodami pracy. Emil był już wtedy wykończony fizycznie, trzeba zważyć, że choroba, która go nurtowała, gorączka, z którą pracował, wprowadzała go w stan chorobliwie podniecony. Ubywające siły, ciągły kaszel zwróciły wreszcie i samemu Emilowi myśl, by zmienić tryb życia. Pragnie się specjalizować, by uniknąć trudów lekarza praktycznego – i znów wyjeżdżamy – tym razem w czwórkę z małym kilkomiesięcznym Przemem – wyjeżdżamy do Wrocławia, gdzie przy tamtejszym uniwersytecie otrzymuje Emil stanowisko asystenta w dziale ginekologicznym. Wyjazd opłakują w dosłownym znaczeniu Polacy bydgoscy – zwłaszcza Sokoli żegnają swego prezesa, żegnają go z żalem pacjenci, zwłaszcza ci z przedmieść bydgoskich, z najbiedniejszych ulic i domów. Polska Bydgoszcz żegna uroczyście i z żalem. Trzeba było przyspieszyć wyjazd, bo wieczornym spotkaniom nie było końca. Na pamiątkę otrzymuje Emil rozmaite laurki i adresy, zwłaszcza piękny album Sokołów, towarzyszą nam serdeczne pożegnania z wezwaniem, by wrócił. Serdecznie żegna Emila kolega dr [Jan] Biziel, gorący patriota, który choć sterany wiekiem, rozumiał się z Emilem najlepiej. On to obejmuje większość Emila funkcji społecznych. Prezesem Sokoła zostaje szewc Michał Niedbalski, który przez dalsze 12 lat urząd ten sprawuje nienagannie.

Zupełne oderwanie się od dotychczasowych zajęć, spokojna praca asystenta, nie polepszają jednak jego stanu zdrowia. Okazuje się potrzeba koniecznej operacji – tej operacji, o którą dwa lata temu tak stanowczo dopominał się dr Szuman. Operacja u Niemca prof. we Wrocławiu udała się – pacjent jednak do zdrowia wrócić nie mógł. Przenieśliśmy się do Poznania, do mieszkania przy ul. św. Marcin tuż przy kościele, gdzie już łóżka nie opuszczał – przez długie tygodnie – dogorywał. Ciężkie to było przeżycie dla najbliższych, to bezsilne przypatrywanie się powolnemu zamieraniu tak czynnego organizmu, w bolesnym poczuciu, że nadziei nie ma żadnej. Nie były jeszcze znane środki przeciw gruźlicy – nie było penicyliny ani streptomycyny, nad umierającym kolegą stali bezsilnie najlepsi lekarze Poznania – nie było już żadnego ratunku.

Obraz życia Emila nie byłby kompletny, gdybym nie podkreśliła i jako wzór dla wnuków stawiała – stosunku jego wewnętrznego – do Boga. Był głęboko religijnym, wiarę gorącą wyniósł z domu swej matki, która mu naj-

lepszy przykład dała – i wiarę tę zachował do końca swych dni. Wewnętrzna spójnia z Bogiem była cechą każdej jego pracy – każdego poczynania, była motorem jego działania. Z wiary jego wypływało ustosunkowanie się jego do ludzi – do każdej ziemskiej sprawy. Był czynnym katolikiem; już jako młody chłopiec, później student wzbudzał podziw mieszkańców małego miasteczka Buku, gdzie u swego wujostwa spędzał całe tygodnie na wakacjach – na jego postawę religijną, gdy często przystępował do komunii świętej w tamtejszym kościele. I w późniejszym życiu tę postawę zachował niezmienną. Na msze św. niedzielne znajdował zawsze czas i wspólne wieczorne modlitwy. A ileż to razy udawał się po pomoc niebieską w pracy zawodowej. W pamięci mojej wyryły się częste obrazy, gdy podczas konsultacyjnych godzin wypadał ze swego lekarskiego pokoju do sypialni i na klęczkach zatapiał się w modlitwie, prosząc o łaskę w jego pracy. A ileż to razy zwracał się do mnie, abym się z nim współ modliła o wynik dobry w ciężkim, jakim przypadku. Gdy już ciężką niemocą złożony – miał wreszcie czas tylko dla siebie – zużywał go tylko na modlitwę. Książka do nabożeństwa była stale przy nim. Gdy wzrok już nie dopisywał – kazał sobie przynosić swe instrumenty okulistyczne i dobierał sobie szkła na zamglone już oczy i modlił się dalej z książeczką.

Pierwszym podarunkiem dla mnie przed laty, gdy byłam cichą jego narzeczoną – był srebrny mały obrazek Matki Boskiej Częstochowskiej – obrazek, który był na pierwszym miejscu w naszej sypialni, a z którym to obrazkiem w rękę nie rozstawał się w ostatnich dniach swego życia. Gdy wydawał ostatnie tchnienia, obraz Matki Bożej spoczywał na jego piersiach. Pamiątkowy ten obraz, oprawiony później przeze mnie w czarną ramę, jest do dziś w posiadaniu Sławki.

I wtedy na łożu choroby w ostatnich tygodniach przestały go zajmować sprawy polityczne czy społeczne – odgradził się od nich całkowicie. Umysł jego ześrodkował się, współdziałając z sercem – na jak najświętsze użycie tych ostatnich ziemskich dni – na przebłaganie – na uproszenie szczęśliwego skonania. Przecież jako lekarz zdawał sobie sprawę ze swego stanu, analizował i badał postępy swej choroby, zapisywał sobie recepty (ostatnią receptę pisaną drżącą niemocną ręką – niedokończoną – mamy w naszych pamiątkach), przewidywał, co jeszcze przyjść może. Pogodzony z wolą boską, poddany cierpieniom kruszył ducha swego i ofiarował się cały Bogu w modlitwach gorących ostatnich.

Za namową Ewy S. dopisuję jeszcze i to wspomnienie z tych ostatnich tygodni życia Emila, z tych przesmutnych chwil, gdy czuwała przy jego łożu. Nie raz mówił, jak smutną była dla niego myśl, że odchodzi – a ja zostanę sama. Raz w takiej smutnej wieczornej godzinie ponowił znowu tę rozmowę,

wyrażając się jaśniej „samą zostać nie możesz – musisz wyjść za mąż, a ja ci w tym dopomogę”. I z właściwą sobie wesołą pogodą i dowcipem – namyślając się, podsuwać mi zaczął nazwiska. Miał też i ciężkie chwile smutku, gdy uprzytomniał sobie, że zostawia matkę, mnie i dzieci. Wszystko w ręku Boga, mówił, a więc i przyszłość wasza. Za dziećmi tęsknił (były pod opieką mej matki w Starołęce). Prosił, by je przywieziono, by mógł ostatni raz na nie spojrzeć. I tylko spojrzeć – bez uścisku i ucałowania – spojrzeć z daleka, jak sam zarządził, bo przecież znaną mu była zaraźliwość choroby.

Aż przyszło gwałtowne pogorszenie – rozwarła się rana pooperacyjna i przysparzała mu prócz gwałtownych ataków kaszlu – dodatkowego cierpienia, które łagodziły już tylko silne środki znieczulające. Rozpoczęły się stany nieprzytomności i wreszcie trwająca trzy dni agonia. Młode serce broniło się długo. W piękny czerwcowy wieczór zakończył życie, mając lat skończonych 28.

Przedwczesna śmierć jego, jak dowodzą nekrologi „Dziennika Poznańskiego”, „Kuriera Poznańskiego” i „Pracy”, uczyniła wśród inteligencji polskiej w Poznaniu przygnębiające wrażenie, ale szczerym echem powszechnego żalu, migiem podawana z ust do ust rozeszła się w Bydgoszczy wśród tamtejszej Polonii, która okazała swe uczucia manifestacyjnym, tłumnym udziałem w pogrzebie.

W Poznaniu, z domu przy ul. św. Marcin eksportował zwłoki przyjaciel Emila ks. dr Trzciniński – na dworzec towarowy, skąd ruszył do Bydgoszczy do kaplicy cmentarza Nowofarnego. Gdy na drugi dzień – prowadzona przez mego brata Kazimierza zbliżałam się wśród szpaleru tłumnego do kaplicy, zobaczyłam jasno oświetloną kaplicę z trumną wśród kwiatów. Przy trumnie stali, trzymając straż „na baczność”, młodzi Sokoli w mundurach – obok poznawałam twarze mi znane starszych Sokołów i tych wszystkich przyjaciół Emila, prezesów organizacji, którzy zbliżali się do mnie z wyrazami współczucia. Gdy kondukt ruszał, wzięli Sokoli trumnę na ramiona i ponieśli przez cmentarz do wozu żałobnego. I wtedy zobaczyłam, jak z tłumy wysunęły się dziewczynki w bieli z rękoma pełnymi kwiatów i otoczyły z jednej i drugiej strony katafalk i towarzyszyły tuż przy trumnie przez cały czas pogrzebu, obok dziewczynek szli chłopcy mali. To dzieci bydgoskie żegnały swego dobroczyńcę, który im udostępnił książeczki polskie, aby nie zapomniały języka ojczystego.

Pogrzeb zamienił się w manifestację narodową. Cała Polonia wzięła w niej udział, nie tylko z Bydgoszczy, lecz i z okolicy. Mówiono, że był to tak tłumny pogrzeb jak kiedyś dr [Karola] Marcinkowskiego w Poznaniu. W nekrologu wspomina się o kilkunastotysięcznym tłumie. Kondukt szedł przez całe miasto na stary cmentarz farny do grobowca rodziny Warmińskich – po drodze zabierając jeszcze dalsze tłumy, które zwiększone nie mogły się

przecisnąć w zwężonej ulicy przy cmentarzu. Napierające tłumy nie dopuściły część krewnych na cmentarz.

Ostatni w pamięci utrwalony obraz z kaplicy grobowca to widok trumny stojącej przed spuszczeniem na środku, całej pokrytej kwiatami, widzę grabarza, jak wzruszony, zapłakany ustawia wśród kwiatów na trumnie fotografię Emila.

Puszczykówko, 29 września 1955 r.

Do druku przygotowali: M. Boguszyński, M. Romaniuk